

PRZEDPOLE

Dwutygodniowy dodatek kulturalny „Sztandaru Młodych”

Nr 8

Warszawa

Sobota 13.XI 1954

ROBOTNIKOM KURSKA

KTÓRZY WYDOBYLI PIERWSZĄ RUDĘ — TYMCZASOWY POMNIK
WYSTAWIA WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

Było tak: socjalizm — podniosło słowo.
Z lewej strony pod sztandarami żęś stał ał
i na czoło sama spływała ci sława.
Przeszliśmy przez burzę ognistą i stalową.
Lecz trosk — nie aureoli — przybyło głowom.
Stało się: komunizm — najwyklesza sprawa.
Potok fanfaronkich słów poskromcie —
nie nam nie zbuduje żadne z nich.
Na calowym, niewidocznym froncie
podbija się dni. Sławię tych,
którym wiedzy o Grekach brak,
których nie grzeje czyn Mucjusza Scevoli,
którym nie nie mówi nazwisko: Grakch,
którzy tylko pracują — przyszłości woły.

BYŁO

Myśmy wlecowali. Słowospadów prądy,
idei baloniki — drżycie, światy.
A w rzeczywistości — odpadły rączki rondli,
gollmy się szkieletem szczerbatym.
A w rzeczywistości — dziura w podeszwie
gębę rozdziawiła — bez ćwieczka
Do Butyrek za to dziury nie odeszsz,
że tak wniebogłose protestuje...
„Dziś niczym, jutro wszystkim my!”
Jutro. A na razie —
pług — to dla nas fantastyczny mit,
w bluzach z rolet podobniemy dzikusów rasie.
Jak angina, ścisła pierś blokady obręca.
Wewnątrz — chaos, wygasł palenisk żar.
Cielska maszyn nie zdołały się zarazie oprzeć,
mór zębami rdzy, żelazo zżarł.
Stepów buntowało się bezdroże,
ryczał Ural swą gardziela gestolasa.
Bez żelaza komunizmu być nie może.
Gdzie żelazo? Dajcie nam żelazo.
Nie pocieknie dym z kominów wymion.
Syren chór odpowiedź dał już twardą:
„Darmo w tloki parę pchać —
nie warto.
Z ziemskich wnętrz niech nam żelazo wyjmą.”
Elektryczność mas spawała wolę.
Jedną myślą karmiąc mózg zapamiętałe,
ciało mas miotało się calizną,
z nieprzpartej tęsknoty za metalem.

I wołanie przenikało drżąca dal,
w uszy ziemi lazło: „Daj żelazo!”
Wciąż na nowo zew się rodził
później głuch, jakby szept profesorski go urzekł,
że pod Kurskiem strzałki z drogi usiłują zejść,
jak Czuzak. W słów wytwórni kierownikiem jestem i mistrzem.
Jam nie geolog, lecz twierdząc: przed naszym przyjściem
było pod Kurskiem goło.
Najwyczejniejsza gleba i podglebie.
Ziemski glob, a wewnątrz — woda i śmiecie przeróżne.
Tylko lawy z rzadka drażyły mroczne głębie.
I dopiero później — na nasz zew, na prośbę, na przykład nasz widomy —
powstały ziemi doły.
Od czasów, gdy gazów gasnących skrzep
z rudą lawą ruszył w zawody,
od czasów, gdy o'pierwszy bazaltowy brzeg
uderzyły wezbrane wody,
od czasów, gdy praszczury nosorożców i krokodyli,
do niczego niepodobne, nieporównywalne z nikim
stwory przedhistorycznej idylli,
osiadały lodowce — pancerniki,
od czasów, które na wieki zawaliły wejście
do wrących podziemnych tygll,
po których i pierwszy koczownik nie zostawił wieści —
żelazne pokłady zastygły.
Przyszłych lat maszynowy loskot i ruch
leży w worku kamiennym — i ani mru-mru.
Daj! Do uspionych w pieczarze głuchej,
do serca ziemskiego dotarło hasło.
Daj! Wstrząśnięte woli wybuchem,
kazamaty trzeszczą nad żyłą żelazną.
Zepchnąwszy góry nieznośny ciężar,
stopy pustyni, depcących żyty,
żelazo płynęło strużką najcieńszą,
żelazo wlewało się w oceanów ły.
Pokonywało jakieś prądy odporne,
jakieś gór łańcuchy przesadzało biegiem,
pod Krymem czoięło się, omijało Kalifornię
wdrapywało się na Murnań, porzucało Norwegię.

Od Francuzów i Niemców, zerkających z ukosa
na łakomy kasek, uciekało w kłus,
aż, zdyszane, zatrzymało się: Rosja.
I zapadło w ziemię pod miastem — Kursk.
Głosy podziemne wiatru wysysała pompa.
Niech słucha człowiek, taśmówka, kompas:
nie dla buldogów haubic — dla pokoju
chytrość ziemskiej skorupy pokonuj.
...Przypadnij jeszcze do ziemi, zmalej,
zgięty, wsłuchaj się w skłębioną głęboko magme,
oko tropicieli przyciągały anomalie,
strzałki kompasów wykrecał magnes.

JEST

Wy, wrzeszczący, że „Rosję zaśmiecą
całą, do cna zaplują pestkami.”
przy pracy przyjrzyjcie się mięśniom
głodnych, nagich i niewyspanych.
Wokół — dżdzy i wiatrów maligna mglista,
pod nogami błoto traktów wiejskich,
nieprzebytech, jak Alfred — felietonista
„Izwestii”. Zachwycał się romantyk
Don Kichotem, że tak zwidom wygrażał, skrzydlatym i innym,
Zwykłych chwalił młynarzy któż ma ochotę:
nie wiatraki — parowe poskramiają młyny.
Słuchajcie, proletariackie córy:
ten, co przyszedł, by w ziemię wgrzyć się,
co na mapie linię natarcia szkicuje —
oto dzisiejszy rycerz.
On także marzyć i kochać potrafi.
Już ruda z pragnienia drży.
Poprzez skałę do serca jej trafić:
junaka w dymu kędziorach przyjm.
Stalowy świder o ziemię się szczerbił.
Usiądź, zreperuj, naostrz.
I myślałeś — cierpliwość się szybciej wyczerpie,
niż pokonasz opokę skostniałą.
Lecz znowu — hurral i znowu — dalej —
drażyć, rwać skallsty fundament.
Diamentowy świder zamiast świda ze stali —
ale znowu rozpryskuje się diament.

OTO POEMAT

Oto poemat Włodzimierza Majakowskiego o robotnikach, o pracy, o twórczym wysiłku tych, co „z gardła ziemi wydierali żelazne kaski”.

Oto — według terminologii niektórych naszych krytyków — „produkcyjniak” Włodzimierza Majakowskiego.

Po raz pierwszy sięgnąłem doń przed kilku laty, gdy niepowodzenie „Wiosny Szesćdziesiątki” kazało mi zwątpić, czy w ogóle tego rodzaju tematyka ma rację bytu, czy praca ludzka może być pełnowartościowym źródłem poezji.

Dziś — pragnę rzucić swój przekład na szalę dyskusji o „tematyce produkcyjnej” w literaturze, pragnę wypowiedzieć Majakowskiego przeciwstawić tym wszystkim, którzy sądzą, że „produkcyjniak” zmarły śmiercią naturalną wraz z nieśmiertelną pamięcią schematyzmem.

Nie, to nieprawda. Już mnie nie przekonacie, że literatura naszej epoki może się obejść bez wizerunku człowieka pracującego, budującego, pracą swą zmieniającego świat. Nie uwierzę, że praca socjalistyczna z samej swej istoty jest uboższym źródłem wzruszenia artystycznego aniżeli bohaterstwo w bitwie, czy tzw. „życie osobiste” mężczyzn i kobiet.

Pytanie tylko: jak? Którą drogą do owej upragnionej żyły poezji, ukrywającej się wśród szarych brył codzienności?

Odpowiedź, którą daje autor „Robotnikom Kurska” nie jest i nie może być odpowiedzią uniwersalną. Zaden z nas nie zostaje zwolniony od poszukiwań własnego rozwiązania.

Ale głos Majakowskiego jest cenny, bo odpowiada: tak, można, wszystko jest do zrobienia, ten temat nie gorzej od innych może zaistnieć najczystszym blaskiem poezji.

I za w odpowiedzi Majakowskiego elementy doświadczenia, którego nie musimy kopiować, ale nad którym postokroć warto się zastanowić. A więc:

1. — U nas wiersz o pracy, o budowie — to najczęściej, w mniejszym lub większym stopniu „upoetyzowana fotografia” — Majakowski wychodzi poza te granice. Dla niego istnieje nie tylko „obiekt”, z którym konkretnie związany jest utwór, zadanie swoje widzi poeta nie w opisie tego obiektu, z którego wyłania się jedynie poszczególne charakterystyczne rysy. Pole widzenia poety jest znacznie szersze; obejmuje kluczowe sprawy narodu, rewolucji, świata, które nie rozpruwają się przeciw w jednolitej scenarii wybranego obiektu — Kurska czy Nowej Huty. My ograniczamy wiersz — jak pseudoklasyczną tragedię — autor poematu „Robotnikom Kurska” gwizda na ograniczenia czasu, przestrzeni i akcji. Nie „obiekt”, lecz myśl i dyktuje konstrukcję utworu.

2. Majakowski nie boi się „naturalistycznego” i „pesymistycznego” (a w każdym razie przyziemnego, brutalnego), niemal wyczuwając prozaiźnego pokazania dnia dzisiejszego.

Majakowski nie boi się fantastycznej utopii, kiedy stwarza wizję jutra.

Między tymi dwoma biegunami powstaje pole poetyckie o najwyższym napięciu uczuciowo-intelektualnym. Rewolucyjny prąd tego pola poraża czytelnika.

3. — Jak każdy prawie utwór Majakowskiego i ten nosi charakter polemiczny. Został on napisany nie po to, żeby zarejestrować jakieś zjawiska, ale żeby przekonać.

Wu, wrzeszczący, że „Rosję zaśmiecą całą, do cna zaplują pestkami!” — przy pracy przyjrzyjcie się

głodnych, nagich i niewyspanych.

Słuchajcie, proletariackie córy:

ten, co przyszedł, by w ziemię wgrzyć się, co na mapie linię natarcia szkicuje —

oto dzisiejszy rycerz.

A więc: poemat z tezą — tezą wypowiedzianą z całym naciskiem i uporem, z całym pragnieniem przyciągnięcia na swoją stronę „proletariackich cór” i wyszydzenia, pogrzebienia sceptyków, „wrzeszczących, że Rosję zaśmiecą... itd.”

Wielka, zasadnicza polemika światopoglądowa — oto treść „produkcyjniaka” Majakowskiego.

Poeta nie rezygnuje zresztą z okazji do mniejszej polemiki — literackiej, artystycznej. Okazuje się, że nie są to sprawy krańcowo różne. Ze można w sąsiednich z sobą zwrotekach opiewać socjalistyczną budowę i wtykać złośliwą szpilę ministrowi oświaty...

4. Majakowski zrywa ze „wstydlivością uczuć” współczesnej literatury mieszczańskiej. Nie boi się najbardziej niepowściągliwych penów na cześć swoich bohaterów.

Majakowski nie boi się fantastyki, nie tylko umotywowanej w wizji przyszłości, ale i takiej, której jedynym uzasadnieniem służy żarliwość ideologiczna autora (fragment o tym, jak „powstały ziemi doły”), fantastyki pozbawionej najskromniejszego przywołania w realnej rzeczywistości, nie usiłującej umawiać w czytelnika, że jest realizmem, a przecież — znakomicie służącej ogólnemu realizmowi wyrazowi poematu.

Majakowski nie boi się własnych ocen i sformułowań ideologicznych (np. na wstępie poważnych i kpiących, wszystko definiuje na własną rękę i sam bierze za to odpowiedzialność).

5. — Majakowski nie boi się... — a zresztą, czego boi się Majakowski?

Tak, tu chyba dotarliśmy do sedna. Te zasady twórczo możemy przyjąć bez niepokoju, że zostaniemy epigonami. Jak myślicie?

WIKTOR WOROSZYLSKI

I gdy zdało się — odpraw stypę nadziejom,
nie ocali przed klęską nic już —
s głębin wyjrzała i błysnęła nad ziemią
przyszłości i błysnęła nad ziemią
Niech się krzywi otwarta żrenica,
nie dowiarka niedowiarka
że daleko mordka mysia;
i nie uda się dosięgnąć prędko.
Gdyby komunizm miał żyć tylko dzisiaj,
w ogóle byśmy na życie machnęli ręką.
B E D Z I E
Rosjan smak leniwy śmiertelnie raniąc
skuteczniej niż „Lefów” chór,
muzyka miliona żelaznych ramion
dyryguje jutrzejszy Kursk.
I nie siląc się by ponad wieże wiertnicze
frunąc razem z liryką wzniosłą
uczniakom manifestuje słowiczek
swe arcynudne rzemiosło. (Ciąg dalszy na str. 2.)

LUDZIE NA PRZEDPOLU

Wrocław. Wzdłuż Podwala, po drugiej stronie fosy biegnie jesienna aleja. Woda za balustradą odbija wszystkie barwy przebiegającej jesieni: ciemnobrązowe buki, jaśniejsze lipy i najtwardsze z wszystkich drzew kasztany. Na dnie fosy leży soczysta, jedyny błękit. Jest harmonia — jesiennych barw zrozestronych z szarą ocalszalymi domów i brudną czerwień zaszczepionych grządów.

Pamiętam wrocławski krajobraz z wiosny 46 roku. Noc i ani żywej duszy. Przeszliśmy grządów, spalonych drzewa i księżyc nad nimi wschodzący, czerwienią od płomieni. Tak wyglądał pobojołwiska. W tym roku był to Tadeusz Borowski i zadawał sobie pytanie: „martwy, czy żywy?” Znalazł życie w wszystkich technicznych biblioteczce — czyli, kochający — wokal do ludzi: patrzeć, jest, żywy! Więc — zwyciężył!

A teraz — teatry, opera, liczne środowiska twórców, wielotyśne rzesze studentów, którzy w sali Longchamps wybierają swoich przedstawicieli do Rady Narodowej. (Wybrano jako kandydatów Czesława Kątkę, Teobaldea Kopf, Jana Bednarka i Estere Weichert). I jest wreszcie potrzebny ruch artystyczno-amatorski, który mimo przysłowiowego już trudności rozwija się bujnie.

Kiedy wyszliśmy z domu Staszka Kuszewskiego, na rogu ulic Kościuski (pod 14 mieszka Staszek) i Stalingradzkiej żołnierze minowali grzyby, a nieco dalej, naprzeciw Domu Towarowego czerwieniali fundamenty nowobudowanego domu Stalingradzka przy wylocie na Rynek jest zamknięta: burzy się secesja, aby w ich miejsce wybudować secesyjne kamieniczki, dzieła czemu Rynek wrocławski zachowa swoją jedynolitość architektoniczną — będzie, jak warszawskie Stare Miasto, dziełem sztuki.

Tęskniłem ten maleńki, średniowiecki ciek wrocławskiego krajobrazu z roku 1954. Maleńki, a skupiający wszystkie (prócz Pałacu) jego cechy. Nie tu nie stół w miejscu — wszystkie wirują się naprzód i ku górze, ku przestrzeni, jak nowobudowana Politechnika na Placu Grunwaldzkiej. I chociaż wiem, że zgodnie z tradycją jesień jest smutna — tego nastroju nie umiałem odnaleźć.

II

Wieczorem szliśmy ze Staszkiem na ulicę Książkiewiczą, do Magdy, która jest przysiężną żoną Staszka. I na tejże ulicy znaleźliśmy coś w rodzaju smutku. Nie pamiętam pod którym numerem, ale to nie ma znaczenia. Przystaliśmy na jedną i patrzyliśmy w okno na parterze. Obaj jesteśmy dziennikarzami i obaj interesujemy się sprawami kultury. Za tym oknem mieszkał malarz. Smutni malarze, ale przede wszystkim smutni ludzie. Na ścianie, nad drzwiami widzieliśmy namalowaną twarz pięknej kobiety, twarz, jaką znajdziemy na tysiącach reklam handlowych firm amerykańskich i w milionie egzemplarzy com.ów. Takie kobiety widuje się w sytuacjach ekscytacji i makabrycznych — np. jak jej lancetem wykluwają oko. (Widziałem comics z takim obrazkiem). Cóż, ta kobieta jest inna: trochę zblazowana, trochę cyniczna, a najwięcej chyba — smutna. Portret, który nazwałby: „R e z y g n a c j a”.

Tuż obok był napis na ścianie: Wszystko płynie, odechodź, przemija PANTA RH(E)I! Warto jest tylko dziś, a dziś to chwila, zbyt krótka nawet, aby się zapamiętać...

Nieco dalej, patrzyła ze ściany druga kobieta, „Triumf i Cynizm”, i napis: „Wiedzieliśmy, że wrócisz”, a jeszcze dalej, żeby nie było wątpliwości odzywał się glinkiany antyfaszysta i mieszczański świat: Remarque, oznajmiając, że „na zachodzie bez zmian”.

Popatrzyliśmy na siebie i wzruszyliśmy ramionami. Potem pokazaliśmy to Magdzie — Magda uśmiechnęła się, jak człowiek, który wie...

Dziwnie jakoś brzmiał Heraklit w ustach tej pani ze ściany w parterowym pokoju przy ulicy Książkiewiczą, pod numerem nie pamiętam którym. „Świat jest przemijający jak błysk, nic nie ma trwałego, nie istnieje idea, kultura, moralność, nie ma nic, co by zostało myślenie o dniu jutrzejszym, w imię którego trze-

ba by walczyć, tworzyć, przeżywać dramaty i komedie prawdziwych i urojonych kłesk i zwycięstw”. Biedni ludzie, kamienny świat. Nawet zapomnieć o nim nie można. Nie, nie dlatego, że „dziś” na to jest zbyt krótko. O tym świecie nie można zapomnieć, nie trzeba się bić, jeśli pragnie się życia. Ci już nie umiemy widzieć świata, już przestali cokolwiek w nim rozumieć i pozostał tylko ten portret, który można zwać „Rezygnacja”, pesymizm, a jeśli nadzieja, to tylko w okrzyku „Wiedzieliśmy, że wrócisz”.

Nadzieja — nawet wbrew panta rel... Smieszne i tragiczne zarazem — farsa. Jesień jest jesienią, dom domem, księżycowe pobojołwiska księżycowym pobojołwiskiem. Wszystko z osobną, jak błysk. I nie ma w nich owej przepięknej radości, jaka rodzi się w przebiegu nagłego zrozumienia wspólności wielu zjawisk życia, bo już nie ma w nich siły twórczości, która rozumie i tworzy, wzruszy pogardliwie ramionami, jak Staszek Kuszewski, albo uśmiechnie się, jak Magda. I pojdą dalej.

III

Nazwisko „Kuszewski” często można spotkać na szpaltach gazet. Jest ich trzech: Staszek, Jarosław i Marek. Pierwszy z nich i najstarszy do niedawna Jeszcze był szermierzem (szpada, szabla, bagniet) i organizatorem sportu. Teraz pracuje w „Gazecie Robotniczej”. W tym roku przynano mu nagrodę imienia Juliana Bruna, jako jednemu z przodujących młodych dziennikarzy. Ostatnio z racji dużej aktywności społecznej i publicystycznej w dziedzinie kulturalnej powołano go do Komisji Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej. Drugi i trzeci Kuszewski — Jarek i Marek — wchodziły w skład reprezentacyjnej kadry szermierczej, byłem więc świadkiem i uczestnikiem przeżyć rodzinnych z powodu porażki Jarka w międzynarodowym meczu z Austrią. O sukcesach sportowych trzech braci Kuszewskich mówią co najmniej dwa dziesiątki dyplomów, w którym obwieszone są ściany pokoju, w którym pracuje Staszek, obłożony stosami książek, notatek i gazet.

Na biurku stoi duża kula o żelaznym postumencie: lampa i globus zarazem. Staszek zazwyczaj pisze wieczorem — zapala globus. Lubi ten globus. Większość artykułów, reportaży, felietonów i notatek informacyjnych powstaje w jego świetle. Nie wiem czemu, ale gdy patrzyłem na biurko Staszka i na tę lampę, przypomniała mi się twarz kobiety namalowana na ścianie w pokoju przy ulicy Książkiewiczą. I pomyślałem o odpowiedzialności za słowo, które piszemy. Za to, co mówimy i ich odpowiedzialności „za świat, za ludzką” jak mówił Tadeusz Borowski do młodych agitatorów pokoju. Odpowiedzialność, która w życiu przejawia się w trosce o swój warsztat pracy, o groźny społeczny, o wyższą kulturę aktywistów i o to, by chłop zrozumiał istotę sojuszu robotniczo-chłopskiego, o dobrą pracę świetlicy w PGR-ze o zespół amatorski i wychowanie chuligana na porządnego człowieka, który ma się stać naszym towarzyszem w walce.

Ta świadomość odpowiedzialności towarzyszy Staszce, gdy siada do pisania. I tutaj chyba kryje się część „tajemnicy” siły oddziaływania jego publicystyki i szacunku czytelników. Odpowiedzialność za świat... To brzmi bardzo patetycznie. Nie szkodzi. Rzecz jest nazwana własnym imieniem. Czymże bowiem jest troska o „Przedpolu”, o którego koncepcji dyskutowaliśmy gorąco w Związku Literatów przy placu Nankera 7? Czymże jest troska o wysoki poziom kulturalny aktywistów naszej zetempowskiej organizacji, których Czesiek Białowas, Barbara Jakubowska, Szymon Szurmiej i Staszek chcą przekonać o tym, że bez wysokiej kultury niepodobna dzisiaj być przywódcą młodzieży? Czymże jest np. rozmowa Czesika Białowasa z aktywistami w Miliczu o literaturze współczesnej, jeśli nie realizowaniem w najszerszym tego słowa znaczeniu poczuciem odpowiedzialności „za świat, za ludzką”?

Pewnie, że pierwszą troską człowieka, który pragnie być pisarzem, jest troska o literaturę, którą zaczyna tworzyć — ona bowiem jest przede wszystkim wyrazem jego postawy wobec życia, jego walki o lepsze. Ale jak można wyobrazić

sobie współczesnego młodego pisarza, tworzącego w izolacji od codziennych, małych i wielkich, dramatycznych zdarzeń, konfliktów, pisarza, który by nie doświadczał życia, nie brał udziału w walce, w której rodzi się użucie i pasja jego wyrażania, świadomość konieczności współczesnej sztuki do tej walki — sztuki, która przeciw niczym innym nie jest, jak tylko bronią?

IV

Nazajutrz rano Staszek pojechał do Wołowa. Jest to nieduże miasteczko, położone w odległości 40 kilometrów od Wrocławia. Do polska wsiada się na Dworcu Świebodzkiem i jedzie w kierunku Ścinawy. Miasteczko jest ciche i sennie — mgła opadała na wierzchołki drzew.

Staszek jeszcze w pojeździe usiłował przygotowywać się do czegoś w rodzaju prapówki. Chodziło o to, by wyjaśnić ujęciu kulturalnemu województwa, (ziewali do Wołowa na trzydniową naradę) niektóre sprawy z aktualnej sytuacji międzynarodowej. A więc — kwestia jedności Niemiec, polityka Mendes France’a (trzeba przyznać, że obecny premier francuski świetnie potrafi grać na cymbalach), sprawa Jugosławii — itd. itd. Poza tym — bieżąca sytuacja polityczna w kraju i w związku z tym wszystkim — zadania działaczy kulturalnych województwa wrocławskiego w najbliższym okresie.

Zadania? Wybory do Rad Narodowych. Tu nie ma sporu o polityczność kultury. Od zreferowania sytuacji politycznej zaczyna się narada działaczy kultury, którzy nie przystępują do działania swoim oddziałom, muszą poznać sytuację całego frontu, podobnie, jak brygadziści z Pałacu muszą poznać sytuację nie tylko swoich oddziałów, ale całego zjazdu.

To było pierwsze dni. Drugiego dnia Staszek prowadził seminarium i konsultacje w sprawie planu pracy świetlic wiejskich. Trzeciego dnia przyjechał do Wołowa „wiecznie zalatany” Szymon Szurmiej — młody reżyser Wrocławskich Teatrów Dramatycznych, człowiek, którego tam wszyscy znają. Przyjechał — „ustawiać” w sprawie zespołów amatorskich, pracy w świetlicach i domach kultury.

Z chwilą przestąpienia progu PDK w Wołowie, Szymon ani chwili nie pozostał sam. Otoczony gromadą ludzi, wydaje się stoumny człowiekiem — tyle na raz prowadzi rozmów, zadaje pytania i daje odpowiedzi, tyle kpini, żartów i dowcipów rzuca naraz. Któż za to nie lubi Szymona?

Szymon jest wszędzie: w Komitecie Wojewódzkim, w Wydziale Kultury, w domu, w kawiarni, w Wołowie, w Powiatowym Domu Kultury, odwiedza zespoły amatorskie, pełni funkcje partyjny w teatrze, dyskutuje ze wszystkimi o polityce i sztuce, reżyseruje i musi się uczyć. Tak, musi się uczyć. Bo Szymon skłócił reżyserkich nie kończył (inni kończyli —

on pracował w ZWM-le i ZMP) i jak powiadają niektórzy, Szymon do teatru przyszedł z ulicy... Szymon zrobił mimo to warsztat reżyżerski i wyreżyseruje więcej tak świetnych przedstawień, jak „Tania” Arbusowa. Bo Szymon w przeciwieństwie do tych z ulicy Książkiewiczą — żyje, rozumiejąc życie jako walkę o cele, które przed nim postawiła rewolucja. W jego wypadku — na odcinku kultury.

W tym czasie, gdy tow. Mułka, kierownik przodującego w kraju Powiatowego Domu Kultury w Kłodzku przemawiał na wojewódzkiej naradzie, tam, w jego Domu przygotowywały się do pracy brzygady artystyczno-agiacyjne, które miały wyjechać do gromad przed zebraniem przedwyborczym Frontu Narodowego.

Podobnie, gdy mówił tow. Chlebny, kierownik PDK w Trzebnicy, tamtejsze brzygady przygotowywały się do wyborów. W tym samym PDK, który w ciągu jednego roku „dorobił się” paru ciekawych zespołów amatorskich, mimo iż „zdolności muzyczne” tamtejszego księdza (świetne określenie tow. Chlebny!) poważnie w tym przeszkadzały.

Mówię tylko o brygadach, jakby niczego innego nie było. A jest przecież czytelnictwo, dyskusje o książkach, wieczornice, gazetki. To są rzeczy na ogół znane. Choć za mało, np. w środowiskach młodych pisarzy, aktorów, artystów i muzyków, których większość uważa, że ta „mala” niby kultura, że „historie” niby „upowszechniacie” to już nie ich sprawy.

A szkoda. Przypadłoby się więcej Kuszewskich, Szurmiejów, Kowalczyków, Białowasów i Jakubowskich. Przypadłoby się to i nam i świetlicom i Domom Kultury.

Powiatowy Dom Kultury w Wołowie ma swoją siedzibę — jak głosi napis — przy ulicy Prezydenta Bieruta. Ładna kamienka aleja, długi, niski, piętrowy budynek o popielatej barwie i ciemnobrązowych, jeszcze nie zmatowiałych futrynach, co mówi, że niedawno futryny politurowano. To samo drzwi i wykusz nad wejściem.

Jeszcze bardzo niedawno Wołów należał do najbardziej zaniedbanych kulturalnie miasteczek Dolnego Śląska. Dziś już — ma ambicję stać się jednym z przodujących.

Teraz zjechali z całego województwa, radni, i jest to coś, jakby oficjalne przyznanie racji tym ambicjom.

Była w czasie narady taka uroczysta chwila:

Zastępca przewodniczącego Prezydium WRN, tow. Ostapczuk wyszedł z za stołu przewodniczącego i przemówił krótko o zasługach budowniczych Domu Kultury w Wołowie, zaczął wyczytywać ich nazwiska z dyplomów: Towarzysz inżynier Tadeusz Drzazgowski.

Uśmiechnął sobie rękę i uśmiechnął się do siebie. Wiceprzewodniczący szeroko,

wcale nie oficjalnie, inżynier trochę nieśmiało, skromnie. — Jan Grzegorzewski.

Podszedł zetempowiec. Na szal huczały brawa.

— Wojciech Kuźnar... — Kazimierz Przegoda... — Józef Kazimierkiewicz... — Szedł z końca sali, wysoki, szczupły, regularnie jak żołnierz. Już idąc, uśmiechał się do klaszczących.

— Henryk Kotowski... — Kazimierz Kwaśnicki... Potem inni z powiatów Kłodzko, Trzebnica, ze Starego Gieraltowa. Ale Wołów powtórzył się jeszcze raz, gdy wywołano Franciszka Kaduszkiewicza.

Wieczorem, po zakończeniu narady Józef Kazimierkiewicz przyszedł do PDK trochę nietrzeźwy. Przydzielano na noclegi. Jedni poszli spać do pokoiw gościnnych Komitetu Powiatowego, drudzy do mieszkań prywatnych, trzeci do Komendy SP, gdzie też nocował Staszek, i nie bardzo sobie chwalił, bo wiatr jesienny hulał po sali noclegowej, że i płaszcze nie pomagał.

Jakoś nikt się nie kwapił na mnie. Nauzycielka, u której miałem nocować, niespodzianie wyjechała do Wrocławia. Wreszcie powiedziano Kazimierkiewiczowi, że jest tu taki jeden. Podszedł. Słowa były niezbyt wyraźne:

— To pójdziesz do mnie, towarzyszu. Spać do mnie. Strzeż się, czyż nie, he? — i zajął się.

Szliśmy, zataczając się po ulicy. Czemu pił? No jakże nie wypić! Dom Kultury oddał do użytku. Zawsze nie pije, ale jak jest taka okazja, czemuż miał nie wypić. Teraz w PDK będzie się grać w szachy, pożyczają książki i grać na trąbkach, na harmonii i tańczyć mazura. Czemu by nie?

— Wy nie wściecie towarzyszu, jak my tu robili. Bo tu nie było, grzyby i śmieć, i muru obdartego kawalek. A teraz to jest pałac. A te futryny podobają się wam i to drzwili... — A jakże, i wykusz.

— To moje dzieło. Kulturalne, nie? My tak wieczorami, wieczorami po połowaniu i przez całe niedziele. Z devotkom śpią na wierzchu, nie? — Tak.

W domu, na obrzecznych rogach sarny zawieszona była dwururka. Zataczając się poszedł do pokoju — przez otwarte drzwi, z pościeli patrzyły na mnie ciekawe oczy dwóch dzieci. Kobieta była trochę niezadowolona z powodu późnego gościa i, że mał tego dnia się z butelką spotkał. A ten mąż najspokojniej w świetle wyjął z szafy czasopismo „Lowiec Polski”, ukłonił się żonie i począł mi objaśniać zasady łowiectwa. Z pierwszych strony uśmiechał się towarzyszu Bierut — do dwu młodych saren. Na zdjęciu była wysoka trawa, dużo kwiatów i słońca — dobry nastrój.

— No? — spytał. Dobre, nie? Było już bardzo późno. A rano, nim się rozlaśniło, Kazimierkiewicz obudził mnie delikatnie:

— Tam, na stole, w kuchni małe śniadanie. Bo żona już poszła, a dzieć długo do szkoły. Ja też... tego, do roboty. Wiec napiszcie, jak my ten Dom Kultury budowali i nie żalowali wieczorów i nie-dzień. Wszyscy, nie tylko ja.

— Których wyczytał? — Tak, i jeszcze inni. Po południu tego dnia wyjechaliśmy do Staszkiem do Wrocławia i już nie zobaczyłem się z Józefem Kazimierkiewiczem, budowniczym Domu Kultury. Bardzo tego żałuję.

VI

W drodze rozważaliśmy taką kwestię: Czy aby na naradzie nie było przeciecia? Kiedy mówił towarzyszu Ostapczuk o tym, że kultura, to broń w walce o świadomość społeczną, miało się wrażenie, że pragnie traktować np. literaturę jako bezpośredni materiał agitacyjny w sprawach rad narodowych, zapominając o tym, że nie można patrzeć na nią z punktu widzenia doczynnych potrzeb politycznych. Jej działanie ma sens ogólniejszy, przerasta ramy tej, czy innej akcji politycznej. Tak samo z wierszem, tańcem, piosenką, czy sztuką, która wystawia zespół dramatyczny. Pewnie, że można robić aktualnie karykatury, gazetki śmieszne i przysiężki, ale żądać od książki bezpośredniości aktualności nie można.

— Trzeba by napisać o tym, Staszku, nie uważasz? Wszyscy niemal kierownicy świetlic, z którymi rozmawiałem i, którzy przemawiali na zebraniu ogólnym i na seminariach, zdradzali niezrozumienie tego problemu.

— Trzeba będzie — odparł po namyśle. Potem dodał: na pewno trzeba. Bo to jest rzecz bardzo ważna...

Patrzyliśmy na krajobraz. Dużo tu lasów; spokój i dosyć i ciepłość jesiennego chłodu jest w krajobrazie. O tej porze w lesie jest dużo kozaków, surojdek i sów, a w brzoziakach mech przysypany warstwą spadłych liści wydaje zapach mocny, odurzający. Na polanach sinitaj niewiele jeszcze wrzószy.

Prawie bez słów porozumiealiśmy się. Przeprosiwszy zazenowane naszą nagłą decyzją towarzystwo (nauzycielka, koleżanka Staszka z uniwersytetu i delegat ZW ZMP na naradę w Wołowie, który się spieszył) wysiedliśmy na maleńkiej stacyjce przed Brzeskim Dolnym i poszliśmy do lasu, rozmawiając o pilce nożnej i zawodach motocyklowych w Wrocławiu, o tym, że Kazimierkiewicz również tworzy kulturę i o śladkach jesiennego lasu, o grzybach i o pięknie drzew w brzoziaku — o małżeństwie Staszka z Magdą.

Wróciliśmy do Wrocławia o zmierzchu, z pełnym kapciem grzybow. Zjedliśmy je na kolację — były świetne.

I tego wszystkiego niech nam zazdrości ci, z parterowego pokoju przy ulicy Książkiewiczą, numer nie pamiętam który, dla których dziś jest za krótkie nawet, aby się zapamiętać, obok których przechodzą ludzie i przechodzi życie i którzy moc tworzenia sami sobie pozwalają zabierać Wrocław, w końcu października



ROBOTNIKOM KURSKA (Dokończenie poematu W. Majakowskiego ze strony I.)
Gdzie bulwar zmieniał się wiosną w topiel...
westchnień, tęsknot do gwiazd — ogniołuste...
wzdychają wielkie plece wytopem...
rozsypują się, gwiazdzistym spustem...
Rzeczka, w której i kaczkom za płytko się płuśkać...
w której nogi zamoczyć — hańbą...
stać ków ławice dźwiga rzeczka Tuskar...
kurs na Kursk — zeterowski Hamburg...
Od New Yorków wszelkich bardziej nowojorskie...
łoskoty elektryczne łowiąc w lot...
dogłębnie przenikliwe latarnie morskie...
na dziesięciu morzach świecą w oczy flot...
I przy każdym palenisku, każdym dźwigu...
blyskawicom przydeptując ogon...
najwytrawniejsi z kurskich wygów...
na smycz biorą kosmosu ogrom...
A w niebiosach gdzie miesiąc, nadwodne i podwodne żegluga...
szuffa iskry z kominów zgnarła, każda bardziej od wiatru śmigła...
syrenami z wież śię rozkaza rada...
armii przemysłu karnej. „Słuchać! A — dwa! Po — trzy!

